

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

Od redakcyi	1
<i>Dr. T. Rutowski</i> : Ruch ludowy i stronnictwa narodowe	4
<i>Ks. Dr. A. Kopyciński</i> : Rola księdza polskiego	14
<i>Prof. A. Wachnianin</i> : Stronnictwa na Rusi halickiej	19
<i>Prof. Dr. A. Sokolowski</i> : Uwagi krytyczne nad historją powstania styczniowego. I.	23
<i>Dr. Witold Lewicki</i> : Ad limina Apostolorum	30

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedyncz 30 ct.



WŁEDENÍ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni *Faesy & Frick*, I. Graben Nr. 27.
we Lwowie w księgarni *Jakubowskiego, Zadurowicza*.

1895.



Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń
w Krakowie.

(Dział ubezpieczeń na życie.)

Biura agencji jeneralnej
na Wiedeń

znajdują się

I. Bez., Hohenstaufengasse Nr. 9.





→ Wiedeń, dnia 25. X. 1895. ←



Był czas kiedyśmy uważali za obowiązek publiczny zawieszenie wszelkich walk partyjnych i zwrócenie wszystkich sił narodowych do wspólnej pracy ekonomicznej.

Z rozdźwięku małych swarów i krzyków, drobnych zawiści i małych walk partyjnych, chcieliśmy dobyć i dostroić harmonii poważny, męzki głos, który wołał wszystkich do wspólnej obywatelskiej pracy około odrodzenia narodowego. W tej myśli założyliśmy przed laty pięciu ofiarą prywatną pismo miesięczne, *Ekonomistę Polskiego*. Ludzie dobrej woli różnych odcieni politycznych zrozumieli ten głos. I zdawało się, że przycichał powoli swar walki, że walki nie będzie z braku przeciwników. I rozpoczął się w naszym życiu publicznym okres spokojnej pracy ekonomicznej, prowadzonej z równym zapałem przez ludzi różnych odcieni politycznych. Od przeprowadzenia reformy skarbu krajowego aż do Powszechnej Wystawy krajowej we Lwowie 1894 odbywa się szereg prac wspólnych pod hasłem odrodzenia ekonomicznego. Program ekonomiczny wygrywa w Sejmie, w Kole Polskiem, wygrywa w całym kraju. Kto dziś na nim grać rozpoczyna, ten powtarza rzeczy uznane, jeżeli nie oklepane, ten stare ogrywa melodye. Czy tak było lat temu sześć? Zapomnijmy o tem jak było. Dobrze jest, że to się zmieniło, a wpłynęła na to zmiana opinii ludzi kierujących w kraju. Gdy program odrodzenia ekonomicznego stał się powszechnie uznanym i przeszedł w politykę bieżącą, a rzecz jest na drodze praktycznego załatwienia, na pierwszy plan dyskusyi wysuwają się w kolejnym rzeczy następnie kwestye społeczne.

Skończyły się sielankowe lata polityki w kraju, w którym dotychczas różnice zdań jednej klasy społecznej stanowiły całą treść życia publicznego, wypełniając swarem i hałasem arenę walk publicznych.

Oto Prometeusze kosmopolityzmu znieśli ogień z niebiosów i rzucili zarzewie walki klas, walki społecznej, dobrali się do samego rdzenia narodowego życia i zatrzęśli tem co dotąd stało nieruchome.

A w takiej chwili, kiedy zdawało się, że wszystkie siły skupią się około narodowego sztandaru, złośliwy los cisnął nam jeszcze boleśniejsze orędzia: objawiono nam wśród puzonów reklamy niebywałej w Polsce jakieś sybillijskie księgi racjonalizmu narodowego. Z szumem wiatru dolatywał nas jęk rozpaczony i krzyk protestu z naszych cmentarzyisk narodowych i poruszyły się w grobach kości męczenników naszych.

Zniesie naród boleść niewoli i nędzę wygnania i zbrodnie przemocy ręką wroga wymierzane; zniesie smutki szarego dnia bez słońca nadziei i pracę na chleb powszedni, ale nie zniesie propagandy nihilizmu narodowego, nie zniesie kłamstwa trzech lojalności, nie zniesie naigrawania ze swych ideałów, nie zniesie wyrzeczenia się swej przyszłości przez własnych swoich nauczycieli głoszonego.

Kiedy takie teorie się pojawiają, kiedy one są możliwe i pod dyskusję poddawane, wtedy na tych, którzy pierwsi dawali hasło zaprzestania walki, przychodzi obowiązek protestu.

Kiedy wszyscy umilkli, kiedy nawet ci co tego kościoła narodowych pamiątek urzędowymi byli stróżami nie mówią, wtedy mówić będzie ostatni obrońca narodu: naród sam. I niechaj nas nikt nie pyta, kto nam dał prawo mówienia. Mówić ma każdy prawo — ma obowiązek. My także. My zawsze ci sami. Stoimy między obozami skrajnymi, walcząc z ekstremami.

W imię ładu i postępu stajemy do walki.

Milczeć już nam nie wolno. Bylibyśmy jeszcze może z pismem politycznym, pod tym znakiem walki założonem wstrzymywali się. Ale wybito dno cierpliwości naszej.

Kiedy po kraju rzucają kodeks apostazyi narodowej z poleceniem najszerszego rozpowszechnienia i wykonania z racyi

rozumu machiawelistycznego, i szerząc inderentyzm narodowy, przygotowują pole pod przyjęcie haseł międzynarodowych, kiedy radykalizm polityczny, szukający w nienawiści zupełnego zospokojenia, podsycany wszelkimi środkami złości i niezadowolenia, rozhulał się po kraju i zalatuje do zaciszy włościańskiej i po miastach burmistrzuje w najlepsze; kiedy wszyscy żyjemy w epoce burzy, w pośród zapasów wielkich idei nowożytnych, świadkowie upadającego wieku indywidualizmu i powstającej epoki społecznienia, jutrenki nowego czasu; kiedy czujemy instynktownie, że jesteśmy u przełomu: niechaj ten „Przełom“, który dziś powszechności polskiej oddajemy, idzie na służbę myśli narodowej, niechaj ją łączy z prądem europejskim, niechaj rozmierza swoje od cudzego.

Witold Lewicki.

Tadeusz Rutowski.

Stanisław Szczepanowski.



Ruch ludowy i stronnictwa narodowe.

Czy bezpiecznie jest dla Polski wchodzić w jakikolwiek obcy alians, póki wprzód nie zawrze aliansu sama z sobą? to jest, póki Szlachta nie zrobi spólnego interesu z całym narodem, któregooby żadna obca moc przeciwko interesom krajowym i spólniej wolności użyć nie potrafiła. Kollataj 1790.

Zaledwie minęło sto lat, jak konająca Rzeczpospolita starała się załatwić „Sprawę miejską“, przywrócić stare prawa odjęte miastom w czasach samowładztwa szlacheckiej demokracji, stworzyć miastom nowy stan prawny w narodzie i państwie.

Niewiele nad sto lat upłynęło od owej „czarnej procesyi“, za którą przyszło wcielenie miast i mieszczaństwa w organizm narodowy i państwowy. Została długo niezalutwiona „sprawa włościańska“, dziś jeszcze nierozwiązana całkowicie. Bywały „ruchy“ i „rozruchy chłopskie“; dziś, nie może być już wątpliwości, zaczął się „ruch ludowy“. Po stu latach od „czarnej procesyi“ mieszczańskiej, zaczynają się „białe procesye“ wieców i sejmików chłopskich. A kiedy jeszcze tyle do zrobienia, żeby prastare, historyczne warstwy ludności stopić w jeden narodowy organizm, zaczyna się u samego dołu ruch całkiem nowy, całkiem młody, a jego procesye — czerwone.

Trzeba się temu przypatrzeć bliżej.

* * *

Sto kilka lat temu, zanosilo się nareszcie na reformę konstytucyi, na alians z potężnym sasiadem przeciw drugiemu potężniejszemu, na powstanie w odjętych już ziemiach. Potrzeba było skupić wszystkie siły narodu, duchowe, materyalne, społeczne, by przeprowadzić przeobrażenie ginącej anarchicznej Republiki w nowoczesne państwo, starszłacheckiego społeczeństwa w naród, i zebrawszy siły wszystkie, podjąć ostatni bój o byt polityczny.

Wtedy zgłosiły się miasta same, niewołane, przyszły nawet dla wielu niepożądane. Stańło w Warszawie prawie trzystu wysłańców od sto czterdziestu kilku miast, by u Króla i Naj-

jaśniejszych Rzeczypospolitej Stanów upominać się o prawa na to, „byśmy, jak mówi akt zjednoczenia, tak dzielnie do pomnożenia sił, potęgi i wzmocnienia tej kochanej Ojczyzny naszej przyczynić się mogli, jak tego sobie najtroskliwiej życzymy.“

Przesunęła się przed oczyma karmazynów „czarna procesya“, padły do króla, do senatu, do sejmującej Rzeczypospolitej słowa dotąd nieznanne, takie pokorne a takie butne, takie miłości pełne a takie groźne, tak na historycznej podstawie oparte a takie nowe, że wycisnęły piętno już na całej robocie wielkiego sejmu.

„Prześwietny Stanie szlachecki! Doznałeś przez dwa wieki skutków jedynowładztwa twego, większa połowa krajów już nie jest własnością Rzeczypospolitej, my wolni ludzie nie chcemy być lupem otaczających nas mocarstw, my chcemy wraz z Tobą, przeznacny Stanie szlachecki, bronić swobód tej wolnej ziemi. A zatem nie w tonie próżnej zuchwałości podnosimy głos o przywrócenie swobód stanowi naszemu należących się, — ani by nas też nawzajem upadlająca bojaźń wstrzymać mogła; wolni odzywamy się do wolnych. Stan mówi do Stanu, ludzie do ludzi, naród do zbyt małej części obywatelów, mówi uprzejmie, mówi z winnym poszanowaniem, ale mówi w tym zamiarze, aby skutecznie był wysłuchanym, aby głos jego był tak ważnym jak go cnotliwa gorliwość i wierne do swej ojczyzny przywiązanie do ust naszych podały.“

Wyparliście miasta z Rady i Rządu, nie było miast nigdzie „tam gdzie Rzeczypospolitej dobrze lub źle czynić można było“. Więc stan miejski „znosił to wszystko cierpliwie lubo do tej nędzy był przywiedzionym, że dobrze swej ojczyźnie czynić nie mógł, źle jednak czynić nie odważył się, nie przydawał nigdy niesnasek do tych, które bezprzestannie dzieliły między sobą Stan szlachecki, żadnej konfederacji nie zrobił, a ilekolwiek ta przez Stan szlachecki zapaloną była, najsmutniejszą stawał się jej ofiarą...“

„Powszechny ucisk tylko był wydziałem Stanu miejskiego — a ta jedyna dla niego została pociecha, że klęski i nieszczęśliwości Narodu polskiego nie były jego dziełem, ale były dziełem tych, którzy sobie do tego jus privativum do Rządu przyznali.“

Co było rozumnego u czoła narodu, stało po stronie miast, zrozumiało wartość potrzebnego „oleju dla dogorywającej lampy“, sił intelektualnych, materyalnych, społecznych w miastach, sił żywych mimo piętrzących się „obalin i gruzów“. Więc chcieli jedni, jak Chreptowicz „tak ukontentować stan miejski, ażeby nie miał czego więcej żądać“. Nawet Kollataj, głowa ruchu, chciał

tylko dać tyle co trzeba, jak żeby „dawszy im zakosztować władzy tak delikatnej, zaostrzyć smak“. Ale co było rozumnego pracowało nad pozyskaniem nowego „stanu“ dla wzmożenia narodowej i państwowej siły. Buntował się duch szlachecki na taką rewolucję pojęć.

Ci co prowadzili wielką reformę, wazyli szanse prądów „w wypadku, gdyby ten interes miał zrobić rewolucję, czy bezpieczniej jest dopuścić rewolucję szlachecką czy pospółstwa? Czy łatwo jest miastom zrobić ogólną rewolucję z pospółstwem i jakieby za sobą pociągnęło konsekwencye? Czyliby inne stany nie wiązały się z tą rewolucją, a nawet i sama szlachta? jaki z tego wszystkiego wypadek?“. . .

Ci co nie chcieli równouprawnienia dla nowego stanu, chwytali się conceptów dyktowanych stanowym egoizmem. Chcąc przeprowadzić reformę, trzeba było łagodzić obawy, ustępować na wielu punktach, robić reformę sympatyczniejszą. Wszak to ma być tylko „przybranie“ nowych sił, to tylko dopuszczenie ograniczonej liczby do wszechwładztwa w Rzeczypospolitej szlacheckiej. Najjaskrawiej widnieje ta myśl i cel w gorączkowej robocie „nobiletowania“ mieszczan.

Więc ich wyjąć z czarnej masy, wybrać co najlepsze, co najbogatsze, najmądrzejsze, piśmienne, wpływowe a ambitne, odjąć miastom a wcielić szlachcie, uszlachcić. Bo, jak mówi Suchorzewski, „interesa polityczne i związek rzeczy terazniejszy stawać nam się pobudką powinny, abyśmy tak światłych mężów sobie przywłaszczyć mogli; jest to albowiem maksymą polityki, aby Stan ten, który sam ma być prawodawczym w Rzeczypospolitej był jak najznaczniejszym“. Więc uszlachcić Barsa, co pisał list przeciw szlachcie i mieszczan buntował, bo jak mówi Sapieha „jeżeli Bars za miastami pisał, będąc mieszczaninem, był dobrym mieszczaninem, więc jeżeli będzie szlachcicem, będzie dobrym szlachcicem“. Więc Teppera, bo w czasie największej potrzeby pożyczył na wojsko 5 milionów, więc jego zięciów, więc Blanka, Kabryta, więc tych co gruntuja fabryki, bo u Paschalisa „zarabia wiele ludzi i szlachty ubogiej“, więc adwokatów, palestrę, bankierów, kupców, fabrykantów, filantropów, fundatorów szpitali, chirurgów, więc wszystkie po miastach osoby, co „przez cnoty, umiejętność, majatek, osobliwie zaś przez założenie użytecznych dla kraju manufaktur nad inne dystyngują się“. Dodawszy do tego tych, którzy z woli miejskich wyborców, ciesząc się ich zaufaniem przez Sejm przejdą, — więc wszystko co się wśród mieszczaństwa świeci.

Cel był tak wyrażony, że to wezbranie miłości szlacheckiej, te nagle zbyt szeroko rozwarłe ramiona, żeby do szlacheckiej

piersi przycisnąć mieszczanina, zaczęły budzić niepokój, i cel mógł chybić. Toteż wołał Sapieha: „Starajmy się Najj. Stany. niech ta wieść nie lata, iż dlatego majątnych wyciągnęliśmy ze stanu miejskiego, aby miast nie miał kto wspierać: krok nasz w politycznym widoku najlepszy niech tej cechy nie nosi na sobie.“

Ale choć były i takie stanowe, egoistyczne i ciasne motywa — zwyciężyła myśl narodowa i państwowa.

Ustawa o miastach, duch Konstytucyi majowej pogodziły miasta z narodem na zawsze. Zapomniały wiekowego wyzucia z praw, zapomniały ucisku i bezprawia, starościńskiego gwałtu czy „prywatnej“ władzy szlachcica, całych wieków, w których nie pomyślano o iskrze światła, o jednym środku podniesienia ekonomicznego, o doli szaraka, który płacił jednak najpewniej wszystkie podatki pośrednie i bezpośrednie, znoił się i krwawił w publicznej usłudze. Zapomniały miasta tak, jak gdyby bez przerwy trwały jagiellońskie czasy, wzięły całą historję Rzeczypospolitej za swoją, jej złote karty i jej czarne, zwłaszcza czarne, jak gdyby chciały się wkupić większą ofiarą, i odtąd niema już dnia w dziejach narodowego życia, żeby w narodowej pracy i służbie, walce i ofercie, poświęceniu i męczeństwie miasta nie były u przodu, ramię do ramienia z szlachtą, żeby się nie rwały coraz bardziej naprzód, gdy „starszej braci“ po starej służbie zaczęły opadać ręce. Odtąd historia życia narodowego, historia ruchu stronnictw, to historia nie antagonizmu już, nie walki dwóch stanów, bo to nieprawda, ale historia emulacji, współzawodnictwa w narodowej służbie.

Intelligencya miejska, mieszczaństwo stało się częścią składową narodu, weszło w naród, do niego nierozdzielnie należy.

* * *

Na załatwienie „sprawy włościańskiej“ starej Rzeczypospolitej niestało czasu. Po za „opiekę prawa“ dla chłopca, dla faktycznych stosunków, umów, obowiązków, ustawodawstwo majowe nie poszło; przyjęto „lud rolniczy, z pod którego rąk płynie najobfitsze źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę“ pod „opiekę prawa“.

I to był spory krok naprzód, boć w tym sejmie siedziało sporo tych, co w r. 1780 z tak rzadką jednomyślnością „uchylili“ kodeks Zamoyńskiego, że chciał odrobinę sprawiedliwości dla chłopca i „tenże zbiór praw na zawsze uchylamy i na żadnym sejmie, aby nie był wskrzeszony, mieć chcemy“ zaperzeni krzy czeli. Bo ten kanclerz miał czas już w austriackiej Galicy

przekonać się, że jeżeli szlachta się chłopem nie zajmie, to się zajmie nim kto inny...

To był pierwszy krok, i gdyby było zostało jeszcze trochę bytu narodowego, byłby dał początek postępowemu ustawodawstwu społecznemu. Jako „początek“ zaledwie uważali go sami twórcy Konstytucyi, od Kollataja po Piattolego i Króla.¹⁾

Był pierwszy i niedostateczny. Na więcej zabrakło czasu. Gdy się naród miał zerwać do ostatniej walki orężnej, Kościuszko polecał „dysponować lud do powstania z właścicielami“, z pod Polańca pisał, że „pomyślność nasza zasadza się najwięcej na upowszechnieniu zapału i uzbrojeniu generalnem“, i wołał tyle razy, że „lud do sprawy publicznej przywiązać należy“ i on, naczelnik narodu, złagodził znakomicie powinności chłopskie, ale bohater dwóch światów, rycerz w chłopskiej sukmanie, szlachcic na czele kosynierów, nie poszedł o krok dalej. Wykonawca testamentu ostatniego szlacheckiego sejmu, szlachcic pragnący postawić „masę 300kroćstotysięczną“ przeciw najezdzy, wiedział, że trzeba coś więcej dla chłopca zrobić, bo z pod Racławic wracał z kosą do chałupy, ale dawał mu tylko wolność osobistą, opiekę prawa i łagodniejsze powinności z tem, że te uiszczać musi, boć „włościanin uiszcza się tylko z należności względem właścicieli za posiadanie lch roli“. Więcej nie dał i Kościuszko — gdy gorętsi chcieli od niego więcej, „Cóż to! wołał, chcecie, abym się puścił na kozaczyznę?“

Ale był dowód niezbity, że te drzemiące krocie, ta „masa“ może być zrekrutowana dla narodowej służby. Oczywiście, że przedewszystkiem myślono o tej służbie — z kosą w polu, nie w poselskiej izbie, nie w administracyi kraju. Ale odtąd co było lepszego w narodzie myślało i czuło, pisało i mówiło za chłopem, żeby go wcielić w naród, żeby z chłopca zrobić obywatela, zrobić Polaka. Ale byli i tacy, co nie robić nie chcieli, a potem i zewnętrzne stosunki nieraz robić nie dały.

I odtąd „chłop“ stał się celem marzeń Polaka. Pieśnią i prozą podnosił jego czystą duszę, jego prostotę nieskalaną, wiarę stalową i nieposzlakowaną, i wszystkie cnoty, co się przechowały pod strzechą, i ten jego „chłopski rozum“, że się szlachecki poeta nie wahał wołać: „A tej szlachcie znarowionej, gdyby Bóg dał rozum kmiecy“ — a drugi szlachecki poeta śpiewał nawet o „senatorskiej duszy“ chłopca.

Więc jeszcze nie było ni oczynszowania ni uwłaszczania, ni uregulowania służebnictw, „opiekę prawa“ trzeciego maja wzięły na siebie „patenty regulacyjne“ i urząd cyrkularny, ko-

¹⁾ Król do Mazzei'ego w Paryżu 15. czerwca 1791. „*Nous avons ouvert un chemin libre à l'indépendance future de nos paysans...*“ Z ręk. niedr.

misarz z bączkiem na czapce, „Unterthansadvokaten“ z jednej a ukazy dla „ulutszenia krestianskaho byta“ z drugiej strony. Nie było szkoły, ale była karczma, czytać nie umiał nikt, nie było co, nie było „duchowej strawy“, ale był spirytus, „przemawiał“ do chłopów ekonom. Tak było „od niedzieli do niedzieli“, a w niedzielę było kazanie w kościele.

Słowem, była „masa“ ludu, olbrzymie, płodne, rosnące statystyczne cyfry. Więc w gorących duszach, patrzących zwłaszcza na Polskę z emigracji, stawał się ten „biały lud“ olbrzymią granitową podwaliną przyszłości, widział w niej bryłę jeszcze martwą, którą byle rozgrzać, a potoczy się nawałą niczem nie-wstrzymaną, której byle dać prawa człowieka, obywatela i właściciela, a stanie się narodem wielomilionowym, potęgą nad potęgą.

Więc kiedy jeszcze nie zrobiło się nic rzetelnego, żeby chłopów przemienić w człowieka, trochę broszur społecznych z obozu konserwatywnego, parę przykładów dobrowolnego uwłaszczenia filantropów, chłopomanów, „dziwaków“, gdy jeszcze nie się nie stało dla oświaty, a działalność kilkunastoletnich sejmów Królestwa znowu „czasu nie miała“ dla sprawy włościańskiej, a w Galicyi zdobyliśmy się na dwie czy trzy zaszczytne uchwały sejmów postulatowych, — w duszach gorących był już chłop czynnikiem sprawy „narodowej“.

W „duszech gorących“, bo spiski demokratyczne robiła dobra szlachta... Więc „reforma społeczna“ stała się hasłem partii ruchu, by chłopów przygotować na zawołanie, tak jak szlachcie „na koń wsiał“, gdy go zawołały wici. Więc kilka broszur, kilka odezw, kilka manifestów, kilka posiedzeń „sekcij“, cóż dopiero uchwał całej „centralizacyi“ wersalskiej, kilku emisaryuszów, a potem hasło, potem hramota i będzie „przez Towarzystwo (demokratyczne) Polska — przez Polskę — ludzkość“.

Wierzył w to Heltmann czy Dembowski lub Wiesiołowski. Godził się i jeden i drugi, gdy leciał w Polskę słynny manifest poatierski: „Gdyby konieczna zmiana porządku społecznego i za nią idąca niepodległość, bez gwałtownych wstrząśnień obejść się nie mogły; gdyby lud musiał być surowym sędzią przeszłości, mścicielem wyrządzonej sobie krzywdy i wykonawcą nieocfionych wyroków czasu, my, dla garstki uprzywilejowanych nie poświęcimy szczęścia dwudziestu milionów, a przelana krew bratnia spadnie tylko na głowę tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro i wyjarzmienie Ojczyzny przenoszą“.

Wierzyli zagni i szaleni, że z chłopów przez jedną noc zrobi obywatela, z „cysarskiego“ zrobi Polaka. Tak zaraz, nie zdawszy sobie żadnej pracy, nie zrobiwszy nic z jego duszą, z jego biedą, z jego ciemnotą, z jego egoizmem, nie zastano-

wiwszy się, że ten „biały lud“ to nie „biała karta“, ale tam spisane i zapamiętane wszystkie podszepty, wszystkie rady niepowołanych, ale zawsze gotowych cudzych opiekunów, że tam są wszystkie ludzkie namiętności w swej „prostocie“, że to materyał na „świętych w niebie“ i na wszystko inne. Wierzył Wiesiołowski, że przyprowadzi „dziesięć tysięcy chłop w chłopa“ choć mu rozumny człowiek mówił: „zobaczysz, że ciebie na postronku przyprowadzą“.

Nie wierzyli tylko ci, co od rozbioru wiedzieli czem dla nich chłop. Kiedy cesarz Leopold kazał na gwałt zbadać, czy Konstytucya 3. maja zawiera coślepszego od systemu austriackiego, badali panowie gubernialracy von Lezzeni, d'Elle Vaux, Edler von Mikulitz, von Thanhausen, nawet Bujakowski i ks. Trautmanndorf z Pragi i hofrat Kranzberg — i odpowiedzieli w sierpniu 1791: w Austrii chłopu lepiej.

Niewierzyli tylko ci, co stwórzyli cały system polityki społecznej, którego zadaniem było wcisnąć się między szlachcica i chłopa, sączyć jad zawiści i nieufności, schlebiać wszystkim namiętnościom, nie dać niczego spodziewać się u szlachcica, kazać chłopu widzieć wszystko w cyrkule, chować chłopa tak, żeby raczej wszystkim był prócz — Polakiem.

Przedstawicielami narodu, żywym widmem Polski była szlachta i intelligencya miejska. Przez dziewięćdziesiąt lat zrosły się te dwa czynniki społeczne w jedno ciało, które miało być wszystkimi środkami niszczone, w epoce Józefińskiej, czy Metternichowskiej, czy Bachowskiej, to co reprezentuje naród skazany na zaratę nazywa się „die oberen Classen“, albo „der Adel und die Demokratie“, dziesiątki lat nierozdzielnie figuruje „der Adel und die Umsturzpartei“. Ta masa u dołu, w której już nic z pamięci przeszłości nie zostało, to jest „die wahre Nation“ w języku urzędowym, to jest „Unser Volk“. Z dumą ogłaszał światu Ks. Metternich 7. marca 1846 o „la valeureuse et loyale resistance opposée par le peuple galicien à la seduction des classes supérieures“.

Bez szczypty samorządu społeczeństwo nie mogło się bronić, chowały się generacye chłopu nieznanego w reszcie Polski. System trwał strasznie długo, pamiętna jeszcze straszliwa agitacya przeciw wyższym klasom społecznym w latach 1855 do 1861.

Toteż nie dziw, że gdy przyszły wielkie dziejowe przewroty i zaczęła się doba konstytucyjna, przyszły do Sejmu Szpunary i Siwce. Któż nie pamięta jak Szpunar w kwietniu 1861 wypowiedział od razu cały program komunizmu agraryjnego: „las jest publicznem dobrem“. Kto nie pamięta świadectwa

wystawionego przez zastępcę naczelnika powiatu posłowi wybranemu z Żywiecczyzny. Ten poseł, Jan Siwiec, syn chłopca bogatego, doszedł w r. 1848 aż do pierwszego roku filozofii, ale że w wolnych chwilach od gospodarstwa zatrudniał się „mit Volktaufwiegelung und communistische Umtriebe“, więc asenterowany, dziesięć lat w kamaszach. Wybrany do Sejmu ex-feldfebel dostaje świadectwo, że przeciw niemu „nicht nur kein politisches Bedenken obwaltet, sondern derselbe, wie notorisch und mir persönlich bekannt, ein entschiedener Gegner des Adels und der Umsturzpartei ist, und... als Landtags-Abgeordneter gegenüber der Umsturzpartei seinen Platz vollkommen ausfüllen wird“.

To należy do historii.

Przyszły nowe czasy, przeobraziło się państwo, Polacy znaleźli równouprawnienie w sercu Monarchy, w konstytucyi i w administracyi. Cwierć wieku zaledwie jakiegoś samorządu, kilkanaście lat intenzywniejszej, samowiednej pracy nad ludem, język polski i Polak w urzędzie i sądzie. I nastąpiła istna rewolucya.

Gdyby nie było innego dowodu co za potęga tkwi w odrobinie samorządu, starczyło by wskazać na chłopca z r. 1860 i z r. 1895. Postęp olbrzymi, różnica o całe niebo. Co zrobiła ta krótka doba autonomiczna z chłopca pod względem moralnym, intelektualnym, społecznym i narodowym, budzi najlepsze nadzieje. Tych środków było tak niewiele, szkoła, gmina (do tego chybiała z gruntu), powiat, Sejm, walka wyborcza do kilku ciał reprezentacyjnych, wspólna ława w radzie powiatowej, udział w administracyi samorządnej razem z intelligentem i szlachcicem, wspólna ława poselska, sejmik wyborczy czy relacyjny... Chłop zaczął słuchać, a że go nauczyli czytać, zaczął czytać, co było pod ręką, złe i dobre, zaczął myśleć, czuć... I zaczęło się w oczach wielkie, znane wszędzie już, u nas nowe przeobrażenie: objawiła się w chłopie dusza człowieka, budzi się w nim poczucie obywatelskie, świadomość praw, poczucie narodowe.

Niewiedzieć czemu więcej, czemu pierwszej zawdzięcza te nabytki.

Dość, że się pyta, rozgląda, ciekawie wytrzeszcza oczy, chciwie pochłania drukowane, porównuje, co było, co jest, co w domu, co u obcych, co lepsze, czem gdzie chłop, co jego prawa, do prawa bo już ma prastarą passyę, prawowała się o skibę między, to się będzie prawował o „Konstytucyję“. I czy kto chce czy nie chce, dowiedział się o wszystkim, o jednym niedokładnie, o drugim na wspak nieco, zwykle dowiedział się

o tem pierwiej co powinno było przyjść później i na odwrot, dowiedział się nie tak jak było według oficjalnego „planu nauk“ przepisane, i nie chodził po naukę do oficjalnego nauczyciela tylko, dość że się odbyło a raczej odbywa w nim coś, co się nazywa uczenie: świadomość siebie, chłop poczuł się ludem.

Tak było zawsze i wszędzie, przyjść musiało i u nas. Co lepsze, budzi się w chłopie: poczucie narodowe. Już mnóstwo chłopów czuje i myśli po polsku, rozumie i kocha Ojczyznę, zna jej przeszłość, wczytuje się w nią bez końca, z jasnych kart dumne, zaczyna się w nich kochać, nad smutnemi boleje, nad upadkiem płacze, ba! od Pana Kościuszki zaczyna wszystkie prace porozbiorowe i cele ich pojmować, — chłop zaczyna być Polakiem.

Dowiedział się tego gdzieś, skądś, czego nie przeczytał, gdzieś zasłyszał, są tacy co się o tem dopiero dowiedzieli w Ameryce, a przynajmniej od kuma co rok czy dwa lata temu poszedł za morze chłopem, a wrócił Polakiem. Dość, że postępy olbrzymie.

Ale do zrobienia jeszcze strasznie dużo.

Broń Boże myśleć, że wszystko zrobione, bo to dopiero początków początki. Potrzeba wszystkich sił społeczeństwa, całej miłości i wszystkich ofiar, żeby to budzące się z ciemności, robiące pierwsze kroki dziecko-olbrzyma otoczyć całą opieką, żeby się rozwijał w narodowej szkole, żeby się z tej „świadomej swych praw“ klasy społecznej, nie zrobił osobny świat o sprzecznych i wrogich interesach i ideałach, ale podwalina narodu, lud polski, naród.

By się niewcisła obca moc, czy podszept obcy, co rozdziela i truje, by nie skorzystał zły duch z młodej duszy, potrzeba narodowej roboty i trudu. Bo ten chłop jeszcze sylabizuje dopiero, a już czyta to, co mu w rękę wpadnie, a słucha naprzód tego, co się mu koło ucha kręci, a o „krzywdzie chłopskiej“ prawi i dużo obiecuje, — chociaż ten chłop dziwnie prędko fałsz rozezna i temu co mówi, że „dla niego“ żyć chce i poświęcać się „jego sprawie“, przyglądnie się dobrze i wypatrzy, czy przypadkiem on z „niego“ żyć nie chce i wyjechać na jego barach.

Więc postęp olbrzymi i zadań do spełnienia jeszcze więcej.

Więc do tej roboty musi przystąpić wszystko — kraj. Więc Sejm, więc powiat, więc gmina, szlachcie i ksiądz, dobry ksiądz przedewszystkiem, więc intelligencya miejska, więc sąd i rząd i państwo.

Potrzeba więcej szkół i lepszych, więcej nauczycieli i lepszych i lepiej płatnych. Dziennikarstwo dla ludu inne

i książek więcej i lepsze, stowarzyszenia, kółka, spółki dla polepszenia materialnego bytu.

Reforma gminna, która złączy dwór i chłopa na wspólnej ławie w najlepszej szkole publicznego życia — w gminie.

Usunięcie reszty nierówności rozkładu ciężarów publicznych.

Wykonać ten program w ciągu szeregu lat najbliższych, to zadanie generacji, która czuje grozę stuletniej rocznicy i chce innej przyszłości. Wykonać ten program trzeba tem rychlej, że zanim jeszcze lud stał się częścią narodowego organizmu, budzą się prądy i ruchy, co stoją na kosmopolitycznym gruncie.

Nie powiedział nikt i nie powie ostatniego słowa mądrości narodowej w takim jak nasze położeniu. Ale zdawało mi się, że kiedy wszczął się spór, co jest „patryotyzm szkodliwy“ a co „patryotyzm polityczny“, czego może spodziewać się Polak według starej a czego wedle nowej „szkoły“ i dogmatów jego arcymistrzów, gdy stanął nagle nowy dekalog „mądrości machiawelskiej“, — warto przypomnieć słowa wielkiego patryoty i polityka z przed stu lat, któreśmy z motto położyli, a które mówią przełożone na język bieżącej doby: Jakiegokolwiek zadania przynoszą czasy, jakiegokolwiek drogi i środki są wskazane, cokolwiek może różni stronnictwa narodowe, w tem jednym muszą się schodzić dążeniu, by naród sam z sobą był w zgodzie, by w polityce narodowej „wspólny interes“ łączył warstwy wszystkie.

Tadeusz Rutowski.



Rola księdza polskiego.

Błyskawiczny pociąg pędzi, i zdaje się, że bieg jego niema końca; bo ciągle mija pomniejsze stacje i miasteczka, przebiega dziesiątki kilometrów — nie myśląc o wytchnieniu. Włościanin, oparłszy na chwilę rękę swą o kość, spojrział nań, zadumał i — już go z oczu stracił. Podróżny znużony zasypia w wagonie; maszynista nawet umęczony utkwiał niedbale wzrok swój w daleką przestrzeń i wydaje się, jakoby on, kierujący pociągiem, najmniej wiedział, że w dłoni jego wielkość siły i chyżość biegu i bezpieczeństwo podróży.

Przystanął. Wszczyła się nowy, zupełnie odmienny ruch. Maszynista bada okiem znawcy, czy maszyna podola wytrzymać trudności dalszej drogi, zabiera wodę i węgle; a inny uderzając młotem w koła nadsłuchuje, co mu oddźwięk uderzenia powie.

Podobnie u schyłku naszego wieku pędzi lotem błyskawicy społeczny, umysłowy i polityczny ruch we wszystkich swych objawach. Żywot jednostki, niestojącej na uboczu od owego ruchu, jest jakżeby w szalonym wirze. Idey tworzą się; i nagle — jak ongi woda za dotknięciem skały laską Mojżeszową wytrysła i spragnionych na puszczy posiliła — obejmują coraz to szersze kręgi obywateli, by za chwilę nowe w nich pragnienia obudzić, nowym ideałom ustąpić. Ludzie, ba nawet ludzkość cała, ulegają chwilowym wrażeniom, które ich w szalony wir porywają, nie dając folgi, by się rozglądnać, rozważyć i zbadać, czy i o ile owe ideały są w możności uszczęśliwić.

Co począć? Zadaniem każdego obywatela, a nietylko męża stanu, jest na wzór owego maszynisty na chwilę przystanąć, by w spokoju zbadać, czy owe ideały są na czasie, a jeżeli tak, co czynić, aby je ująć w pewne formy i nadać im siłę t w o r z e n i a.

Takie samo zadanie powinien sobie także postawić polski ksiądz i za wzorem dobrego kupca zrobić bilans ze swego *soll und haben*, dobrze bacząc, czy się coś w maszyneryi do jego

zakresu przynależnej nie zepsuło, a zarazem na dalszą drogę zabrać sobie nowe zapasy.

Zaproszony przez Szan. Redakcyą do skreślenia kilku słów, zakresliłem sobie to samo zadanie, które w ogólnych zarysach przedstawię, zostawiając, rozumie się, wolność każdemu, by wydał inny sąd i napisał inne uwagi.

Jaki jest obecnie zakres działania polskiego księdza w dziedzinie ekonomicznej, społecznej i politycznej naszego kraju i jak on je spełnia?

Pod względem spełniania obowiązków z dziedziny ekonomii praktycznej wywiązuje się nasz polski ksiądz ku zupełnemu zadowoleniu, i nie tylko sam dąży z zupełną świadomością do celu, ale prowadzi za sobą tysiące tysięcy włościan do zrozumienia doniosłości dobrobytu i uczy ich, jak tenże dobrobyt sobie wywalczyć i utrzymać. Że tak jest, świadczą o tem setki Kółek rolniczych, które przeważnie w rękach księży się znajdują, przez tychże zostały stworzone, są zawiadywane, które uczą włościanina oprócz oszczędności, przemysłowości i co najważniejsza — handlu. Kto widział te Kółka rolnicze, ten przyzna, że one wyrabiają między włościanami nowy stan, którego w Polsce nie było, t. j. stan kupiecki, kużytkowi kraju.

Świadectwem owej pracy są przeróżne stowarzyszenia humanitarne, przemysłowe, zarobkowe, zaliczkowe, handlowe, w których bierze czynny udział również ksiądz polski. Bilans z tego działu pracy może zadowolnić księdza polskiego.

Pod względem społecznym polski ksiądz jest kitem, który stan obywatelski łączy ze stanem włościańskim. Na mocy swego powołania stoją mu otworem podwoje dworu i niskie oddrzwia chaty, i nie myślę się twierdząc, że ksiądz polski bywa tu i tam, by u jednych i drugich, jeżeli są jeszcze jakie przesady, zwalczać je, do niedawna zwaśnionych godzić i katoliczką jedność na miłość św. Kościoła i drogiej ojczyzny opartej szerzyć. Że tak jest, każdy uznać musi, bo u nas w kraju nikt jeszcze nie zarzucił księdzu braku patryotyzmu. Prawda, że zaszedł jeden przykry wypadek, ale to zasady nie usuwa.

Pod względem politycznym polski ksiądz ma zakres działania obecnie bardzo uszczuplony, bardzo ciasny i z wieloma trudnościami i przykrościami połączony.

Do niedawna jeszcze włościanin nasz spoglądał na ruch polityczny taksamo, jak stojąc przy sierpnie lub kózbie przyglądał się pociągowi błyskawicznemu, który w mgnieniu oka obok niego przebiegł. Włościanin polski był zupełnie obojętny

na ruch polityczny i czasem tylko iskra elektryczna wstrząsnęła nim, a to przy wyborach do Sejmu i do Rady państwa.

Obecnie inaczej. Prawda, że wielka większość włościan i dzisiaj jeszcze jest na ruch polityczny zupełnie obojętna. Za to pewne jednostki w każdej parafii, w każdej niemal gminie, rwą się do życia politycznego z entuzjazmem młodzieńca, z silną wiarą i zapałem, który podziwiać należy. Nie chcą już oni poprzestać na roli obserwatora, nie chcą być manekinami, ale chcą sami już polityczną nawa kierować. Tak jest. Z tym faktem liczyć się trzeba; a biada, jeżeli go ci, którym przyszłość kraju w pierwszym rzędzie na sercu leżeć powinna, ignorować będą; bo agitacja w tym kierunku z dniem każdym coraz to szersze zakresła kręgi!

Tego rodzaju włościanin uważa siebie za dorosłego, za świadomego celu i chwytą niejako z chorobliwą gorączką hasła i poi się obietnicami, które jak narkotyk upajają go w tem przeświadczeniu, że ma już dostateczną samowiedzę, talent, siłę i doświadczenie polityczne. Z roli biernego podróżnika chce wyjść i objąć rolę maszynisty pociągu błyskawicznego. A silny to i bardzo ważny czynnik w społeczeństwie, który też na szalę przyszłości usiłuje dorzucić swoje „ja“; i słusznie. Ale jaki będzie bieg tego pociągu pod nowymi maszynistami, któż to odgadnie.

Jakież tedy ma zadanie obecnie polski kapłan wobec tego ruchu?

Pytanie to nie wyklucza innych czynników politycznych, które w pierwszym rzędzie tą tak ważną kwestyą zajmować się muszą; ale żąda tylko wyjaśnienia, czy i w jakich rozmiarach i w jakim celu ma polski ksiądz rękę swą do tego dzieła przyłożyć?

Zanim na to pytanie odpowiem, potrzeba skonstatować stan istniejący, bo polityka to czyn chwili.

W trzech ostatnich latach rzucono hasła między lud, że się ma obejść bez starszych braci i opiekunów, (że mówiąc tylko o księżach), trzymając oni spółkę z obywatelstwem na „niekorzyść chłopa“, a nawet że i bez posługi duchownej ze strony księdza obejść się może, n. p. sakramentu chrztu żyd dziecku chłopskiemu udzielić może. Hasło rzucone znalazło odgłos u setek włościan i ci w zeszłym i w tym roku na swych wiecach i zebraniach postawili tak skrajną, niepatryotyczną zasadę: „precz z szlachtą i duchowieństwem“, ani tego, ani tamtego nie wybierać nawet na wyborcę.

Taki jest stan rzeczy.

Że ruch ów jest ze stanowiska narodowego, polskiego,

politycznego nieprawidłowy, niezdrowy, a w skutkach swych straszny, tegoć chyba nie trzeba dowodzić. W skutkach straszny dla kraju, straszny dla samego chłopca.

Że ruch ów jest niepatryotyczny, wskazuje ów separatyzm, który burzy a nie buduje, rozdziela a nie kojarzy, który niesprawiedliwie i bezpodstawnie wyrzuca wszystkich księży i karze ich ostracyzmem, chociaż setki między nimi całą duszą są chłopu i chłopskiej sprawie oddani.

Ruch ów jest niekatolicki, bo obraża miłość, bo burzy zasadę jedności, zgody i braterstwa, bo szerzy nienawiść stanową i zgotuje niestety tym nierozważnym smutną przyszłość.

Ruch ów jest i nielegalny, przynajmniej w stosunku do księży; bo oni z ludu wyszli, dla ludu i z ludem żyją, z nim obcuja, jemu na mocy powołania swego służą, albo jak Chrystus Pan rozkazał „u bogim ewangelią opowiadajcie“, włościanom zawsze i teraz dobrą nowinę tylko opowiadać mogą; a na zasadzie ustaw krajowych z chłopem jedność tworzą, bo włościanin i ksiądz należy do gminy i te same prawa i te same ciężary ponosi. Ostracyzm tedy rzucony przez włościan na księży jest prawu bożemu, kościelnemu i krajowemu przeciwny.

Co ma czynić teraz polski ksiądz?

Zaiste w takim stanie rzeczy trudno znaleźć odpowiedź, tem trudniej, że księża wiedząc i widząc to, co się naokoło nich dzieje, mileżą i zdania swego uformować czy nie mogą, czy nie chcą, czy im tego uczynić nie wolno.

I ja z odpowiedzią się nie spieszę; bo ciężka odpowiedzialność zacięży na tym, który dorywezo, bez głębokiej rozważki, bez zasiągnięcia zdania wielu i bardzo wielu da wskazówki lub mandat księdzu polskiemu, jak ma postępować. Ale że raz tę bolesną sprawę poruszyć trzeba, więc i ja to uczynię.

Zaufania i wpływu na lud polski ksiądz stracić nie może, nie powinien; to moje dogma. Gdyby się to stało, zakres działania księdza ścieśniłby się do kościoła i do zakrystyi, jak we Francyi, a wpływ jego by zupełnie ustał. Wszak ksiądz stoi ciągle w ciągłym kontakcie z ludem; on na mocy swej misyi bożej jest dla niego ojcem, bratem, przyjacielem, sędzią, adwokatem, doradcą, pocieszycielem, jednym słowem: wszystkim, według słów Apostoła narodów „stałem się wszystkim dla wszystkich“. A więc i w polityce wpływ swój ksiądz mieć powinien. Plebania od wieków była, jest, i da Bóg, pozostanie ogniskiem parafii.

Więc cóż ma ksiądz czynić?

Odrzucony od prowodyrów i agitatorów ludu, usunięty od

tych włościan, którzy z entuzjazmem pochwycili hasła i nie mieli jeszcze czasu zbadać je, rozważyć i osądzić; — skrzepowany przez inne czynniki, zostaje obecnie skazany ksiądz na rolę obserwatora, bo ta arena polityczna nie jest i nie może być jego areną. Ale ponieważ na szczęście obłęd polityczny nie ogarnął jeszcze umysłów wszystkich włościan, więc niechajże ksiądz polski na wzór kwasu ewangelicznego przerabia umysły swych parafian; niechże żywiły spokojniejsze u parafii skupia i z tymi jużto u siebie, jużto na zebraniach kółka rolniczego lub czytelnicy ciągle się styka, fałszywe zapatrywania prostuje, to co potrzebuje w ustawodawstwie poprawy przedkłada, wspólnie rozważa, bada i w petycyach do sejmu przedkłada.

Uczciwie, otwarcie i z współczuciem ujmijmy się doli chłopskiej, bo bądźco bądź, twarda ona i naprawy czeka. Co do wyborów, zdanie wypowiedzieć trudno. Miejmy atoli nadzieję, że narkotyk wywietrzeje, że umysły się uspokoją i że głos księdza polskiego znajdzie u chłopów polskiego posłuch. „Prorokuj synu człowieczy“ wołał po kilkakroć Pan Bóg do Ezechiela proroka, i tenże prorokował i powstał wielki wiatr od czterech stron świata i obudził umarłych. I nam trzeba dzisiaj zdwoić siły i siać ziarno gorczyczne, które oby rychło wyszło na chwałę Bogu a pożytek ojczyźnie.

Ks. Dr. Adam Kopyciński.



Stronnictwa na Rusi halickiej.

Inteligencya ruska, sterująca w Galicyi losami ludu swego, przebywa w chwili obecnej poważną kryzę. Pominąwszy, że społeczeństwo ruskie od lat czterdziestu rozpadło się na dwa obozy o wręcz przeciwnych sobie przekonaniach narodowościowych, rozdrobniło się ono w czasach najnowszych na stronnictwa i frakcyje o różnych programach politycznych lub polityczno-socyalnych, a nie można powiedzieć, by poglądy tych stronnictw co do taktyki politycznej i stosunku narodu ruskiego do społeczeństwa polskiego w Galicyi były jednakowe.

Że takie rozdrobnienie istotnie nastąpiło, o tem świadczy najwyraźniej fakt, iż do przeprowadzenia wyborów do sejmu krajowego w jesieni b. r. już teraz z pośród inteligencyi ruskiej wyłoniły się cztery komitety wyborcze. Trzy z nich wyszły z łona narodowców, t. j. Rusinów, którzy naród swój uważają pod względem etnologicznym za odrębą i samoistną jednostkę w rodzinie ludów sławiańskich; czwarty komitet utworzył się z wyznawców jedności narodu ruskiego z narodem moskiewskim.

Oryginalne i u drugich narodów prawie nie praktykowane zjawisko zasługuje, by się mu nieco bliżej przypatrzeć tym bardziej, że wymienione komitety i stronnictwa, z których takowe wyszły, wezmą prawdopodobnie ruchliwy udział w przyszłych wyborach sejmowych.

Owoż ruskimi komitetami są:

Komiteta „centralny“ pod przewodnictwem pos. Barwińskiego. Jest to komitet tak zwanych „nowoerystów“ wsparty delegatami trzech biskupów ruskich. Stronictwo to stoi na gruncie narodowym ruskim, do tego katolickim, a zadaniem jego będzie, by do sejmu nowego wprowadzić ludzi chętnych pracy organicznej dodatniej, pragnących szczerze odrodzenia i rozwoju narodu ruskiego w Austrii i przy Austrii, prócz tego pragnących także znaleźć modus vivendi z narodem polskim w Galicyi na podstawie sprawiedliwego unormowania praw narodowościowych społeczeństwa ruskiego.

Drugim zaś komitetem jest komitet „niezawisłych narodowców“, którego widomą głową jest architekt lwowski, p. Nahirny. Stronnictwo niezawisłych narodowców nie różni się co do przekonań narodowościowych w niczem od stronnictwa tak zwanych „nowoerystów“. Nie należą zwolennicy jego także do żywiołów antypaństwowych, antykatolickich lub antyspołecznych, ale dążą oni do tego, by do sejmu wprowadzić elementa, gustujące w opozycyi i przekonaniu o skuteczności polityki opozycyjnej według modły opozycyi młodoczeskiej, praktykowanej obecnie w radzie państwa. Gdy komitet „centralny“ składa się z posłów ruskich sejmowych i rady państwa, duchowieństwa ruskiego i ludzi świeckich różnych zawodów, to komitet „niezawisłych“ utworzył się pierwotnie prawie z samych adwokatów krajowych, a później dopiero, niejako dla dekoracji, dopełnił się i jednostkami z pośród duchowieństwa ruskiego. Należy i to dodać, że zwolennicy stronnictwa „niezawisłych narodowców“ nie wierzą z góry w możność załatwienia sprawy ruskiej w sejmie galicyjskim drogą wzajemnych ustępstw. „Niezawisli“ chcą walczyć.

Trzeci komitet utworzył się z nielicznego grona „radykałów“ ruskich, zebranych w „Narodnej Woli“ kołomyjskiej. Stronnicy komitetu tego kierują się zasadami nowoczesnych prądów socyalnych, poniekąd nawet socyalistycznych na tak szerokie rozmiary, iż pytania i sprawy narodowościowe zeszły u nich już na drugi plan, a na pierwszy wystąpiły dążenia czysto socyalnej natury, zabarwione pojęciami internacjonalu europejskiego. Na czele komitetu radykałnego stoją triumwiri: Pawlik, Daniłowicz, Tryłowski.

Przypuszczamy, że w przeddzień wyborów dla dopełnienia chaosu powstaną jeszcze liczne komitety lokalne z pośród powiatowych rad ruskich politycznych, które na własną rękę zechcą stawiać kandydatów na posłów „wcale a wcale niezawisłe“ od Rusinów lwowskich, jak to już się działo w czasie dopełniających wyborów do rady państwa w ostatnich latach.

Na boku od wszystkich stanął czwarty komitet, tak zwany „wszechnarodny“ albo „zupełnie niezawisły“. Jest to komitet moskalofilów galicyjskich, złożony przeważnie z członków „Rady ruskiej“. Odezwę jego podpisało kilkunastu dziekanów, wszyscy posłowie sejmowi z klubu Rożankowskiego i sztab moskalofilski, rezydujący we Lwowie jako ekspozytura sławiańskiego „blahotworitelnawo“ komitetu w Petersburgu. Stronnictwo to, jak już wyżej powiedziałem, hołduje zasadzie, że naród ruski w Galicyi, na Bukowinie i w północnych Węgrzech, na Podolu rosyjskim, Wołyniu, Ukrainie, całym Zadnieprzu po Kulań, Samarę i w głąb

gubernii czernichowskiej jest niczem innym jak tylko odłamem narodu moskiewskiego. Narodową odrębność Rusinów od Moskali uważa obóz moskalofilski za prostą intrygę polityczną austryacką lub polską, a dąży on do tego, by Rusini austryaccy nie rozwijali się pod względem narodowościowym, przeciwnie, by się z wolna assimilowali z narodem moskiewskim na polu literatury i nawet wyznania.

Stronnictwo moskalofilskie w Galicyi przed laty czterdziestu nie było nader liczne. Składało się ono z jednostek pod kierownictwem historyka Denyza Zubrzyckiego. Dopiero w czasach ery konstytucyjnej poczęło ono wzrastać, zasilać się ustawicznie malkontentami ruskimi, niezadowolonymi — i to słusznie — polityką, jaką kierowały się pierwsze sejmy galicyjskie wobec Rusinów, mianowicie polityką negacyi i zaprzeczania Rusinom rozwoju na podstawach czysto narodowych ruskich. Negacją tę wykorzystali bardzo zręcznie i skrzętnie ajenci rosyjscy jak Pogodin, Łamański, Rajewski, a później szefowie sławiańskiego komitetu petersburskiego. Z jednej strony prawią oni Rusinom ustawicznie (począwszy w „Słowie“ a skończywszy na dzisiejszym „Haliczanie“), iż przyszłość ich lepsza leży poza granicami Austrii, z drugiej strony nie szczędzono grosza, by mianowicie młodzież ruską demoralizować i werbować dla tak zwanego „objedinenia“ (połączenia się). Obecnie rezultaty tej akcji są zatrważające. Gdy jeszcze przed kilku laty prasa moskalofilka w Galicyi kryła się z swojemi przekonaniem, streszczającami się w słowie „adin narod“, to w chwili obecnej prasa ta wypowiada te przekonania z wszelką śmiałością, a młodzież moskalofilka rozmawia z sobą już tylko czysto po moskiewsku bez wszelkiej żenady.

Otóż i to stronnictwo weźmie czynny udział w przyszłych wyborach do sejmiku krajowego, a staraniem jego będzie szerzyć takie zamięszanie w kraju, by rezultat wyborów był jak najniekorzystniejszy dla Rusinów i by tym samym nie dopuścić do żadnej akcji poważnej i pojednawczej między Rusią i Polakami w przyszłym sejmie. Obóz moskalofilski wychodzi z zasady: robić wszystko, by tylko powstrzymać prawidłowy rozwój Rusi austryackiej. Rozwój Rusi na podstawach narodowościowych swoich własnych byłby tylko niepotrzebną zaporą dla akcji assimilacyjnej Rusi z Moskwą. Dlatego też narodowcy ruscy w ogóle, a przedewszystkiem tak zwani „nowoeryści“ są solą w oku naszym narodowym moskalofilom. Koncesye, dane Rusinom w ostatnich latach na polu szkolnictwa, zbliżenie się Rusinów do rządu i żywiołu polskiego pod warunkiem: do ut des — to wszystko nie podoba się moskalofilom, bo to przyczynia się do

wzmocnienia poczucia odrębności narodowej Rusinów, bo Ruś lgnie w inną stronę a nie do Moskwy. Moskalofile pragnęli by, ażeby Ruś halicka i bukowińska przedstawiała się jako tabula rasa, na której by nie rósł kąkol ruski, któryby kiedyś w przyszłości musiała plewić ręka moskiewska. Nihilizm wszechstronny na Rusi — oto cel, do którego dążą moskalofile nasi.

Komitet moskalofilski kokietuje obecnie najwyraźniej z komitetem „niezawisłych narodowców“. On połączył by się nawet chętnie z „niezawisłymi“ do akcji wyborczej. Malkontentyzm jednych i drugich mógł by posłużyć za spójnię do takiego połączenia się. Czy tak się stanie? — nie przesadzamy. Jednakowoż u nas wszystko możliwe, chociaż z drugiej strony nie wierzymy, by „niezawisli narodowcy“ mogli zejść ze swego stanowiska ruskiego i oddać się pod komendę Markowa i jego moskalofilskiej armii.

A. Wachnianin.



Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego.

I.

Ruch na polu historii jest pod każdym względem bardzo pomyślnym objawem życia społecznego, dowodzi bowiem, że społeczeństwo to nie tylko żyje, ale że zarazem z przeszłości swojej pragnie sobie zdać sprawę, aby uniknąć następnie błędów, popełnionych dawniej i wytknąć sobie drogę przyszłego rozwoju. Zjednoczenie Niemiec, dokonane przez Bismarka, poprzedził też olbrzymi ruch na polu badań historycznych. Na długo przed wojną francusko-niemiecką pracowało dziejopisarstwo niemieckie w kierunku, wytkniętym przez politykę pruską. Apoteoza silnych Niemiec, zjednoczonych pod berłem saskiej dynastyi i wysławianie polityki brandenburskich Hohenzolernów, przenikały też z wolna w skutek tej wytrwałej pracy w coraz to niższe warstwy społeczeństwa, aż stały się nareszcie własnością całego narodu, stały się podstawą jego życzeń i pragnień w praktyce.

Nasze dziejopisarstwo, traktowane z początku po dyletancku, rozwinęło się niewątpliwie w ostatnich latach 20tu świetnie i weszło na drogę jedynie właściwą, drogę umiejętnego badania.

Badanie to rozciągało się jednak na czasy odleglejsze, podczas gdy epoki bliższe, szczególnie dzieje porozbiorowe tak w szkołach jak i w piśmieniu bądź milczeniem pomijano bądź dotykano tylko pobieżnie. Historia legionów, dzieje księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego, wielka i świetna epopeja r. 1831 wreszcie, były młodszemu pokoleniu znane tylko z tradycyi, z nielicznych pamiętników lub z Pieśni Janusza Winc. Pola.

W ostatnich latach nastąpił i pod tym względem zwrot ku lepszemu. Mierosławski ukończył dzieło swoje o wojnie r. 1831 i zamknął je dwutomowym opisem bitwy warszawskiej, wydanym przez K. Jarochońskiego, Barzykowski obdarzył nas

szczegółowem i bardzo cennem, jakkolwiek nie wyczerpującem i niezupełnie krytycznem opracowaniem historii listopadowego powstania, wreszcie od lat kilku zaczęły się pojawiać coraz to liczniej publikacye o r. 1863. Wprawdzie twierdzi p. Kozmian w swojej „Rzeczy o r. 1863“, że smutna ta epoka historii swojej mieć nie będzie, ale paradoksalny ten zwrot przypisać trzeba chyba źle ukrytym intencjom samego autora.

Kto rzuci okiem tylko na całą niemal bibliotekę dzieł, traktujących o powstaniu styczniowem, kto przypomni sobie, że istnieją obszerne biografie Wielopolskiego, że świeżo wyszła „Historya dwóch lat“, pierwsza próba krytycznego opracowania tej epoki, ten z p. Kozmianem żadną miarą zgodzić się nie może. Prawda, że jest jeszcze ogromna ilość materyałów rękopiśmiennych, prawda, że posiadamy nietknięte prawie archiwum rządu narodowego, ale to wszystko nie może być przeszkodą lecz raczej bodźcem do napisania historii r. 1863 w sposób umiejętny i krytyczny.

To pewna jednak już dziś, że historia ta przedstawi rzecz w świetle zupełnie innem niż to dotychczas czyniono lub czynić usiłowano. Już przed 30tu laty, w roku 1864, oświadczył ś. p. Paweł Popiel w liście ogłoszonym z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy: „wszyscyśmy zawinili, jedni uczynkiem, drudzy opuszczeniem; kto rękę na serce położywszy, może w dobrej wierze powiedzieć, że jest niewinny?“ Ale obdzieliwszy tak winą tą całe społeczeństwo, autor na trzeciej zaraz stronie zrzucił wszelką odpowiedzialność tylko na tych, którzy powstanie wywołali, obwiniał rząd narodowy, że obiecywał pomoc z Zachodu, która nie przyszła, że miał nadzieję poruszyć masy ludowe darowizną gruntów itd. itd.

Wszystkie te zarzuty i rekryminacye pochwycono też skwapliwie, zapominając o owem pierwszym zdaniu, wypowiedzianem przez Popiela i rozpoczęła się teraz na całej linii kampania przeciw twórcom powstania styczniowego i przeciw wszystkim, którzy w tym ruchu udział brali. Sam autor przytoczonego wyżej „Listu“ w rok zaledwie potem, w drugim liście, pisany do ks. Jerzego Lubomirskiego formułuje tak swoje żądania: Potrzeba więc koniecznie wyprzec się ostatniego ruchu, uznać go i potępić jako zgubny, odtrącić ludzi, którzy mu przodowali, albo mu potakiwali“.

Nie wchodząc w to, czy takie wypieranie się ruchu, nieskierowanego przeciw Austryi, ba przez Austryą nawet początkowo popieranego, było potrzebnem, zaznaczyć musimy, że autor w r. 1865 poszedł już o krok dalej, i że to, co wtedy powiedział, stało się punktem wyjścia dla autorów „Teki Stań-

czyka“ i tych wszystkich, co nie poprzestając na „wypieraniu się ruchu“ zaczęli go wprost błotem obrzucać i ośmieszać. Wywołało to oczywiście opozycją w przeciwnym obozie, do którego należeli nietylko «niepoprawni konspiratorowie», jak ich nazywano, ale niemal cała niezawisła opinia w Galicyi i po za jej granicami. Ale kiedy zwolennicy wyparcia się ruchu szli zwartą falangą i posiadali znakomitą organizacją, z drugiej strony walczone na ochotnika, bez planu i systemu. I stało się to, co w takich wypadkach zazwyczaj się dzieje, że stronnictwo choć nieliczne, lecz karne i świadome celu, zwyciężyło. Wina w tem była po części owego rozbicia, jakie nastąpić musiało po strasnej katastrofie, po części zaś braku wszelkiej spójni, któraby łączyła, żywioły liczebnie silniejsze, ale nie skupione i nieorganizowane. Skutki tej walki były rozmaite: dodatnie i ujemne, dodatnie o tyle, że zmusiły niejako opozycją przeciw nowemu systemowi do skupienia się i zszeregowania w stronnictwo mniej lub więcej zorganizowane, ujemne, <bo ciągłem gaszeniem fikcyjnych pożarów Stańcycy wpłynęli znacznie na obniżenie uczuć patriotycznych, szczególnie między młodzieżą, i przygotowali grunt pod posiew zasad socjalistycznych. -

Stan taki nie mógł trwać długo i niebawem też zaczęła się objawiać reakcyja. Społeczeństwo, zahukane w początku i w apatycznym pogrążone usposobieniu, przekonywało się coraz dowodniej, że owo ostentacyjne wypieranie się ruchu, było nie tyle wyrazem zasad politycznych i przekonań co zręcznym manewrem politycznym, zmierzającym do tego, aby od rządu „otrzymać pełnomocnictwo powrócenia kraju w kluby ułożonego przez kilku obywateli systemu i porządku“, czyli inaczej, aby tym krajem rządzić po swej myśli i woli.

Z przeświadczenia tego musiała też wypłynąć konsekwentnie także zmiana w zapatrywaniach i sądach o roku 1863. Bezustanne i aż do przesady posunięte potępienie i prześladowanie wszystkich i wszystkiego, co z tym ruchem w jakimkolwiek zostawało związku, wywołało u jednych rozgoryczenie u drugich refleksyja. Namietne miotanie się Stańcyków, przechodzące już w mania niebezpieczną, obudziło w umysłach chłodniejszych mianowicie pewne powątpiewanie o szczerości ich intencji i o prawdziwości tego co z taką emfazą głosili — urbi et orbi. Nasunęła się myśl, bardzo prosta zresztą, badania gruntownego tej błotem obrzuconej epoki. We Lwowie grono ludzi, związanych ściśle z wypadkami r. 1863, zaczęło wydawać materyały historyczne dla rozjaśnienia historii ostatniego powstania, gdzieindziej, w Krakowie, ukazało się dzieło¹⁾, ruchowi wprawdzie

¹⁾ Historia dwóch lat 1861—1862 przez Z. L. S. W Krakowie 1892.

nieprzychylnie, ale sądzące wypadki spokojnie i dość przedmiotowo.

Autor, należący niewatpliwie do stronnictwa konserwatywnego, nie zsolidaryzował się mimo to z wyobrazeniami stańczykowskiej szkoły a nawet dość stanowczo potępił kierunek i stanowisko, jakie ona względem r. 1863 zajęła.

„U nas, jak wszędzie zresztą“, pisze on w przedmowie, „znaleźli się ludzie, stanowczo i bezwzględnie potępiający fakt historyczny dlatego, że nie miał on powodzenia. Oplwano więc powstanie ostatnie, obrzucono je błotem, wywleczono wszystkich jego działaczy pod pręgierz opinii narodowej i napiętnowano mianem zdrajców, łotrów i sprzedawczyków. Jeżeli ci, którzy sądzą wypadki dziejowe ze stanowiska ich powodzenia lub niepowodzenia, mają do pewnego stopnia racya, to jednakże nie wypływa stąd wcale wniosek, by powstania nasze były dlatego zbrodnią, że się nie udały. Zadanie historii jest wyższe i podnioslejsze; jej celem jest wskazanie złego, gdzie ono było, ale zarazem przedstawienie dobrej strony faktu. Obrzucanie błotem pokonanych zostawmy „diejatielom“ moskiewskim i junkrom pruskim.“

Ustępow ten, na który, o ile nam wiadomo, nikt szczególniejszej nie zwrócił uwagi, potępił dosadnie metodę stańczykowską, stosowaną do powstania styczniowego, a książka sama przyniosła szczegóły, rzucające ciekawe światło na stanowisko partii krakowskiej w przededniu powstania. Wiadomo dziś każdemu, że w katechizmie stańczykowskim wiara w opatrnościową misyą Wielopolskiego i doskonałość jego systemu na dogmatyczne niemal znaczenie. Zarzuca mu się wprawdzie to i owo, krytykuje się w drobnych szczegółach jego postępowanie, w ogóle jednakże stawia go się jako wzór statysty o genialnym zakroju. Zdawałoby się zatem, że stronnictwo, które taki sąd o nim dziś wydaje i które tyle mówi o swojej dojrzałości politycznej, a świeżo, w książce p. Koźmiana, każe narodowi podziwiać swój rozum stanu i doskonałość swego systemu, musiało w czasie właściwym całą siłą swego wpływu popierać margrabiego i jego politykę. Otóż kto tak myślał lub myśli, ten jest stanowczo w błędzie. Stronnictwo krakowskie, z wyjątkiem może jednego Ant. Zyg. Helcla, którego z Wielopolskim łączyły związki osobistej przyjaźni, nietylko nie popierało Wielopolskiego, ale nawet w organie swoim „Czasie“ jawną prowadziło z nim wojnę. Kiedy margrabia na początku r. 1861 zdecydował się pojechać do Warszawy i tam wziąć czynny udział w przygotowujących się wypadkach politycznych, czuł, znając swoją niepopularność

w kraju, że potrzebuje poparcia. W tym celu wysłał zatem do Krakowa syna swego Zygmunta z poleceniem, aby plany ojca przedstawił kilku zaufanym i wpływowym osobom i prosił ich o radę i o pomoc.

Zygmunt Wielopolski, stosownie do tego polecenia, porozumiewał się z najwybitniejszymi reprezentantami stronnictwa krakowskiego: z Adamem Potockim, Jerzym Lubomirskim, Maurycym Mannem, Pawłem Popielem, Lucyanem Siemieńskim i Al. Szukiewiczem. Wszyscy jednomyślnie pochwalili zamiary margrabiego i przyrzekli „najsolennie“, że w chwili rozpoczęcia się posiedzeń Towarzystwa rolniczego zjadą do Warszawy i poprą całą siłą i całym wpływem swoim akcją Wielopolskiego. Ośmielony tą obietnicą margrabia pojechał do Warszawy, ale kiedy pora stosowna nadeszła, nikt z grona krakowskiego nie pojawił się w stolicy.¹⁾

Tak więc ta sama grupa ludzi a przynajmniej to samo stronnictwo, które dziś wynosi zasługi Wielopolskiego i potępia ruch za to, że tych zasług nie uznał i Wielopolskiego odtrącił, to samo stronnictwo w r. 1861 nie uczyniło nic w celu utrzymania i poparcia Wielopolskiego. Niema zatem różnicy żadnej pomiędzy stronnictwem krakowskim a partją ruchu w r. 1861 i to w kwestyi najbardziej zasadniczej. Jedno i druga nie chcą Wielopolskiego, ale gdy partya ruchu wypowiada to otwarcie wszem wobec i każdemu z osobna, to stronnictwo krakowskie działa wprost dwuznacznie, bo upewnia margrabiego o swoich sympatyach, aprobuje jego zamiary, a w chwili stanowczej opuszcza go zupełnie. Jeżeli zatem dziś narzeka się na obłąd społeczeństwa polskiego i ubolewa się nad upadkiem Wielopolskiego, to trzeba te narzekania skierować wprost do siebie, trzeba się uderzyć w piersi i przyznać do winy a nie wyszukiwać kozła ofiarnego w stronnictwie ruchu i na niego zwałać własne błędy. Zachowanie się grona krakowskiego w tym wypadku było zresztą obojętne, bo tragiczność leżała właśnie w tem, że misya Wielopolskiego powieść się nie mogła. Znienawidzony we wszystkich warstwach społecznych do tego stopnia, że „tacy nawet co go nigdy nie widzieli, na myśl o nim trzęśli się z oburzenia“²⁾, nie mający w kraju żadnego stronnictwa, żadnego poparcia, z usposobienia wyniosły, nieprzystępny a bezwzględny przy tem i despotyczny, przychodził ten człowiek z polecenia obcego najazdu, aby zbawiać naród, który go nie rozumiał, rozumieć nie chciał i ze wstrętem odtrącał. To co się stało później wynikało zatem po części może z owej

¹⁾ Historia dwóch lat. T. II, str. 70—75. ²⁾ Hist. dwóch lat. II, 77.

gorączki, w jakiej społeczeństwo polskie wtedy się znajdowało, może cokolwiek z antagonizmu pomiędzy Andrzejem Zamoyskim a margrabią, głównie jednak płynęło z charakteru i przeszłości Wielopolskiego. Był on tak jak bohater starożytnej tragedyi z góry skazany na zgubę z tą różnicą tylko, że gdy bohatera tragicznego otacza sympatya, Wielopolski sympatyi tej nie miał nigdy i nigdy nie umiał pozyskać.

Czy stronnictwo krakowskie było na tyle przenikliwe, aby wtedy podobnie myśleć i sądzić o Wielopolskim? nie wiemy, to pewna jednak, że nie tylko jego systemu nie popierało, ale zwalczało go do tego stopnia, że margrabia „Czasowi“ krakowskiemu zabronił wstępu do Królestwa. Widzimy zatem, że owa tyle sławiona mądrość polityczna grona krakowskiego nie była ani o włos lepszą i bystrzejszą od mądrości każdego Polaka, który zazwyczaj mądrym bywa po szkodzie.

A jeżeli stosunek partyi krakowskiej do Wielopolskiego był zupełnie innym niż go dziś przedstawić usiłują, to niemniej fałszywą okazuje się legenda, wymyślona także na zohydzenie stronnictwa ruchu. Nie wiemy w czyjej ona głowie powstała i kto ją wymyślił, ale pierwszy raz spotykamy się z nią znowu w przytoczonym już przez nas liście Pawła Popiela.¹⁾ „Rząd narodowy — tak pisze on — obiecywał pomoc z Zachodu, która nie przyszła“, a co za tem naturalnie idzie, kłamał i oszukiwał społeczeństwo. Słowa te, rzucone zresztą bez przytoczenia jakiegokolwiek dowodu, nie wytrzymują znowu krytyki historycznej. Nadzieja pomocy francuskiej wisiała, że się tak wyrazimy, w powietrzu; wierzone ślepo, że Napoleon III, który dopomógł Włochom do wybicia się na wolność, który postawił ideę narodowości, użyje całej swojej potęgi na oswobodzenie Polski. A o potędze tej i o genialności cesarza francuskiego miano wtenczas tak przesadne wyobrażenie, że nikt ani na chwilę nie wątpił o powodzeniu tej sprawy, której on użyczy swego poparcia. Przekonanie to sięgało do najniższych warstw społecznych i chłopcy warszawscy wołali do żołnierzy rossyjskich: „strzelać nie będziecie, bo Napoleon zakazał“. Wszelkie zapewnienia lub obietnice rządu narodowego pod tym względem były zatem zbyteczne, ale jeżeli wszyscy się łudzili i jeżeli byli tacy, co mimo całej swojej rzekomej trzeźwości na łodzie francuskiej interwencji wnosili fantastyczny gmach swoich marzeń, to było to właśnie grono krakowskich polityków, był ten sam autor listu, który, powróciwszy z Paryża, oświadczył, że teraz wszyscy na koń siadać powinni. Klassycznym świadkiem na to,

¹⁾ Pisma t. I, str. 19.

jest także członek grona krakowskiego, p. Kozmian, który w pierwszym tomie swej, książki o r. 1863 tak obszernie traktuje swoją misją paryską i z otwartością uznania godną opowiada o złudzeniach, jakim sam ulegał i które rozszerzać się starał. Nie rząd narodowy także, ale p. Kozmian, rozsyłał po świecie owe kłamliwe telegramy, nie rząd narodowy kłamał zatem i balamucil opinią, lecz ci, co gdy karta się odwróciła, jak Pilat ręce umyli od wszystkiego, i z lekkim sercem zrzucili własne winy i błędy na tych, których chcieli z drogi usunąć, aby tem łatwiej i swobodniej w kraju burmistrzować. Taktyka ta była może zręczna, ale, powiedzmy prawdę, w wysokim stopniu niemoralna. Bo jeżeli u narodów cywilizowanych, nawet względem nieprzyjaciela zachowuje się pewną rycerskość i uczciwość w wyborze środków, to w wyższym stopniu o wiele obowiązuje ta zasada wobec nieszczęśliwych i zgnębionych braci własnych. Rozumiemy bardzo dobrze żal i gorycz, jaka powstać może w sercach, miłujących ojczyznę, po klęskach i niepowodzeniach, ale uczucie to przestaje być zrozumiałem i ludzkim, gdy za oręż używa oszczerstwa a szlachetne pobudki przytłumia chwastem partyjnego egoizmu. Zadaniem historii bezstronnej jest postępowanie podobne, sądzić surowo i taką historią, wbrew twierdzeniu p. Kozmiana, będzie mieć r. 1863.

August Sokołowski.



Ad limina Apostolorum.

Rzym dnia 20 Kwietnia 1895.

Widziałem świętego starca.

Widziałem kiedy go nieśli na owej sedia gestatoria w białej szacie. Widziałem tę drżącą rękę, kreślącą półkrzyże w powietrzu, te odchylone usta błogosławiące ludzkości. Przed nim i za nim morze purpurów i fioletów.

Przed nim i za nim kardynałowie, pralaci, palatyni, kameryery, gwardye przyboczne, szlachta, kawalerowie maltańscy, muszkietery, bussolanti i partecipanti, ten tłum różnobarwny, bogaty, lśniący tradycją władzy doczesnej.

A tam na dole tłum pochyłony, niemy, wpatrzony. Tam zwichnięte serca, poszarpane życia, tam wierni i wątpiacy, tam cisi i jeszcze z sobą w rozterce, tam ukojeni i ci, których bunty serdeczne z głuchym szumem rezygnacyi gasną.

A tam za nimi strumień życia i morze fal grających.

To wszystko spaja w jedną harmonią muzyka Syxtyńskiej kaplicy. Strumienie piękna płyną po niewidzialnej fali i łączą dusze w tej harmonii linii, tonów i kształtów, co w nieskończoność ucieka. W obliczu sądu ostatecznego odbywa się wielka tajemnica ofiary świętej, którą spełnia Leon XIII. Sybille w około jego głowy, prorocy starego testamentu przysłuchują się tej muzyce syxtyńskiej, co cudzym uszom niepojęte wygrywa rozkosze. Wszystko to uderza o struny mojej duszy. I nieświadomie zatapiam się w sobie. Umyka rzeczywistość z przed moich oczu. I widzę nasze drewniane kościoły i widzę lud nasz naiwny w modlitwie i czuję jego wiarę świętą dziecinną i jakaś siła każe mi wszystkie nadzieje omyłone, wszystkie zawody próżne i wszystkie cierpienia nieznane i wszystkie walki krwawsze od bitew, bo w własnej pokonywane piersi zanieść przed tron tego pasterza co jest stróżem owczarni. Do tego Ojca uciśnionych,

obronić maluczkich zanieść skargę tych maluczkich co tam w pokorze serca i w uwielbieniu dziecka podnoszą oczy do niego. Zanieść skargę za ten lud naiwny, w prostocie ducha szukający sprawiedliwości na ziemi, za ten lud co własną piersią bronił swej cerkwi w Pratulinie i Krożach, za ten lud co się do Niego zwraca „choć im kaganice więzień jedyną gwiazdą, a słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem. Kto zanieś rozdzierającą skargę Hioba, kto się za nim ujmie, kto się jego użali? Gdzie jest ten syn bolejący, „rodem niewolnik ale mściciel duchem“, który ze skargą na ustach powie, jak serce naszej ziemi kołata?

Wtem huk trąb i fanfar odzywa się, kardynałowie, prałaci, palatyni, gwardye, szlachta, kawalerowie, muszkietery, bussolanti rozstawiają się w szeregu, następuje pochód. A tam przez legendową Porta de bronze kroczą poważne postacie biskupów, prałatów i tych pobożnych pielgrzymów, którzy audyencyą uzyskali.

Zapelnia się *scala regia*, przez antychambry i krużganki przewijają się prałaci przesuwają się fiolety mantoletów i koronki rochettiów, i coppae magnae kardynałów. Szelest jedwabiów łączy się z szczykiem bronii, która zwisa u licznych mundurów szlachty i gwardyi.

Cale święte Kollegium przedemną. Widzę te postacie wyniosłe, senatorskie, poznaję tego prawdziwego księcia kościoła kardynała Ledóchowskiego, prefekta Kongregacyi de propaganda fide, instytucyi stworzonej przez Klemensa VIII. do szerzenia wiary katolickiej, pośród niewiernych. Tu Monaco la Valletta, dziekan świętego Kollegium, wielki penitencyoryusz i jego zastępca Kamerlingo Oreglia, oto Parocchi, kardynał-wikaryusz, prefekt S. Congregacyi rezydencyonalnej biskupów, znany z swych sympatyj francuzkich, jeden z najgorliwszych obrońców *non possumus* w rzeczach dogmatycznych i równie jak staruszek Bianchi, prodatoryusz Dotaryi apostolskiej, szafarz łask i dyspens, o wejrzaniu mistycznym; dwaj bracia kardynałowie Vanutelli, Serafin, były nuncyusz Wiedeński, prefekt Indexu, wielki cenzor utworów ducha ludzkiego, dwaj książęta rodu Lucyan Bonaparte, święty pokutnik za grzechy swego rodu i Hohenlohe, brat kanclerza rzeczy niemieckiej, sam dyplomata ścielący drogi trójprzymierzu w obec polityki watykańskiej; oto wielki bibliotekarz Św. Kościoła rzymskiego, uczony i wymowny kardynał Copecelatro książę de Castro Pagano,

przyszły łącznik między Watykanem a Kwirynałem. Na intencją tego połączenia codziennie czytają kardynałowie włosi msze święte, które zamawia pobożna królowa Małgorzata. Wszystkich przerasta młoda, dystygnowana i energiczna postać kardynała Rampolli, sekretarza stanu — kardynała kardynałów, instygatora polityki Watykanu. On to prowadzi grę dyplomatyczną z nieporównanym mistrzostwem. On to jest Egerią ligii rosyjsko-francuskiej. On to z konsekwencją prowadzi nici tego aliansu demokracji, carszmu i papieżstwa. Widomą głową jest on tego przymierza tak jak kardynał Galimberti, dawny nuncyusz wiedeński, od stycznia r. 1893 kardynał, jest widomą głową polityki trójprzymierza. Te dwa prądy ścierają się obecnie w Watykanie, zarysowują się dwa stronnictwa. Pod tym hasłem z Francją lub z Dreibundem odbędzie się przyszły wybór papieżki. A tu przedemną trzej kardynałowie zakonnicy: Persico z reguły Benedyktynów, prefekt Kongregacji relikwii św., sycylińczyk Mazzella, znakomity teolog, prefekt Kongregacji nauk, prezydent Akademii św. Tomasza i Steinhuber, Niemiec bawarski, z reguły Jezuitów. Żeby niczego nie brakło, kierunek anty-senicki zdradza kardynał Verga, prefekt Kongregacji biskupów i zakonów. Tamby trzeba szukać kłębka dla niektórych nici rozsnutych po świecie.

Wreszcie Opat z Subiaco, kardynał Macchi, rzymianin z rodu, zamyka ten prześwietny pochód. O pięknem obliczu, o wyniosłej postawie, o zaciętych ustach kardynał Macchi jest najsurowszym dla siebie. Ten asceta w gronie św. Kollegium w późnym wieku składał śluby kapłańskie. Znały go niegdyś salony Doria-Pamphiliów, Borghezów i Colonných, znały go maski na Corso, znały piękne rzymianki swego Don Juana, znał świat paryski un joyeur viveur. Głębokie poznanie doprowadziło go do wyznania, że wszystko jest marne, Vanitas vanitatum. Więc cisnął piękne rzymianki, rzucił iluzje doczesnego świata, ażeby w askezie, w pokonaniu siebie i pożądlowości ciała znaleźć drogę do poznania ducha.

Czego ty chcesz tułaczku polski w tem świętem, świetnem i świecącym kole? Na rozwalinach starych kształtów zasiadłeś płaczący. Cudu chcesz? Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia. I zebrałem wszystką siłę i namiętność swoje i wszystką umę swoją i słuchałem w pokorze. Niepojętego, w pokorze ducha

śluchałem objawienia: jak wielkiego dzieła dokonywa Watykan na polu reformy społecznej.

Jak przenikliwością w dostrzeganiu wszystkich potrzeb społeczeństwa ludzkiego divinacyjnym duchem Leon XIII. pojął znak czasu współczesnej chwili. Z jaką mądrością umysłu i śmiałością serca podjął usiłowania w sprawie reformy socyalnej. Jakie prawdy ogłosił 15. maja 1891 r. zdumionemu światu w encyklice „*de conditione opificum*“. I czułem nad sobą unoszącego się Ducha La Mennais'go i Lacordaire'a i Montalambert'a, którzy przed laty 60 głosili:

„A moins d'un changement total dans le système industrial, un soulèvement général des pauvres contre les riches deviendra inévitable“.

I słyszę każącego w kościele St. Sulpice księdza Dominikana Maumus'a: „Kiedy się miało pod koniec starożytnemu światu, kiedy się wszystko psuło i rozprzęgało, wtedy kościół wierny swemu posłannictwu bożemu, nie troszcząc się o polityczne znaczenie tego kroku, rozpostarł ramiona do nadciągających barbarzyńców. I dzisiaj nowa powstaje siła. Niechaj się nikt nie łudzi. Jak onczas, kiedy barbaryja nawała szła na państwo rzymskie, tak i dziś się podnosi nowa nawała i domaga się dla siebie miejsca pod słońcem. Tą siłą, z którą się dzisiaj liczyć potrzeba, tą siłą, która dzisiejszej kulturze i cywilizacyi niesie zagładę lub rozwój, jest: demokracja. Nieśmiertelny papież Leon XIII. w prześwieatnej encyklice w następujący sposób ujął się za demokracją powiada On: „Oto są nowi barbarzyńcy; idźcie do nich; z nimi założycie świątynią przyrzłości“.

Kościół będzie demokratycznym i w tem będzie postępował w myśl nauk ojca swego, założyciela swego i Apostoła św. Pawła.

Tak każą mówcy kościoła, panowie dusz tysiąca, burzą oklasków owiani. Nuncyusz papieski Mgr. Ferrata, arcybiskup tessaloński, przysłuchuje się temu, a w tygodniu potem Ojciec święty szle orędzie jedno za drugim: więc encyklikę do arcybiskupów, biskupów, kleru i wszystkich katolików Francyi, w której nakazuje wiernym jako obowiązek, aby — pomimo protestu biskupa Freppła — republikańską formę rządu uznali i niczego do jej obalenia nie przedsiębrali. A potem szle okólnik do kardynałów francuzkich, w którym

nakazuje, że wszyscy katolicy Francji mają bezwzględnie, bez wszelkich zastrzeżeń, z zupełną szczerością i uczciwością poddać się republice, jako formie rządu od Boga nakazanej.

Nic to, że takie polecenie rozsadza partją rojalistyczną, filar katolicyzmu, że Marquis de Breteuil z żalu usuwa się z areny politycznej — alians Stolicy Apostolskiej z demokratyczną Francją został dokonany. A kiedy admirał floty rosyjskiej, Avellan, z 50 oficerami rosyjskimi po entuzjastycznych przyjęciach w Marsylii, Toulonie i Paryżu składają oficjalną wizytę arcybiskupowi paryżkiemu, Stolica Apostolska szle p. Carnot życzenia z powodu szczęśliwego udania się franco-rosyjskich uroczystości. Na pamięć przychodzą nam głosy prasy watykańskiej „Voce della verità“, która już widzi, jak z owego „połączenia serc“ nastąpi „połączenie duchów“, a z tego połączenia powrót Rosyi na łono kościoła katolickiego.

I oto widzę drugą wielką ideę, która opanowała politykę Stolicy Apostolskiej. Wielkość jej przeraża mię, potęga jej przytłumia mnie i już z pokorą widzę przed sobą nowe drogowskazy postawione ludzkości i czuję niemoc buntu wszelkich tradycją nabytych przesądów i uginam się przed olbrzymością tego planu. Ta siła tytaniczna, która była tragedją dzieł Michała Anioła, ta olbrzymość pomysłów zawsze podejmowanych a nigdy nie dokończonych, którą podziwiać i przed którą giąć się uczyłem przed grobowcem Medyceuszów, przed Mojżeszem i prorokami w Sykstyńskiej kaplicy, ogarnia mię, przeraża i rozdziera. To zbliżenie się do świata słowiańskiego, do tego świata, który jeszcze nie wyszedł z mgławicy kosmicznej, to zwrócenie się do tego Wschodu, gdzie leżała kolebka zbawienia, skąd wyszło światło światła, aby się rozejść po całym świecie, oto najnowszy zwrot polityki watykańskiej, to rdzeń i treść ostatniej encykliki: *ut omnes unum*. Wy narody słowiańskie, o których sławie historia tak świetnie opowiada dzieje, do was zwraca się Stolica Apostolska. Kościoły rosyjskie i greckie, ormiańskie, syryjskie, koptyjskie, melchitskie i maronickie, wy wszystkie, coście od głównego pnia się odszczepiły, wy coście wyszły z Byzancyum w przeciwstawieniu do geniusza Romy, wy wszystkie wróćcie na łono jedynie zbawienie wieczne zapewniającego kościoła rzymskiego: *ut omnes unum*.

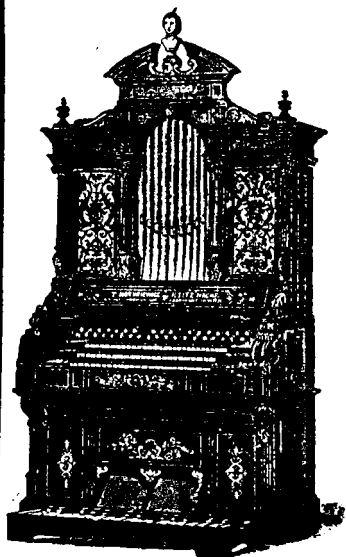
Ta myśl przepotężna zjednoczenia wszystkich kościołów, a przede wszystkim zjednoczenia kościoła rosyjskiego, zagarnięcia pod duchowy prymat biskupa rzymskiego Rosyi europejskiej i azjatyckiej, myśl tytaniczna jest testamentem Leona XIII.

Czy zwycięży? Widzę uśmiech ironii na obliczu ministra pełnomocnego Cara Wszechrosyi, szambelana Izwołskiego, tego Mefista na dworze papieskim. On to swym rozumem zimnym wydrwił męki serdeczne naszych chłopów chełmskich, których przywiązanie do wiary, wytrwałość w obronie i męztwo w cierpieniach przypomina jak nic innego męczeństwo pierwszych chrześcian. Ale czemu są ich męczeństwa, czemu Pratulini i Kroże, czemu jęk boleści drżący w listach z orenburskiej gubernii wobec tych celów wielkich, wobec tych tytanicznych idei? Tułacz polski, wygnańcze ziemi własnej, ty co w pokorze serca i ubóstwie ducha, ty co z wiarą płomienną poszedłeś skargę nieść do Namiestnika Chrystusowego, ty idź z swą skargą przed tron Najwyższego, tego co w sercach czyta i sprawiedliwość rozmierza.

Kwestya socyalna, demokracja francuska, zjednoczenie kościołów: rosyjskich, syryjskich, melchitskich, maronickich, koptyckich *ut omnes unum*, to są idee wielkie, tytaniczne, czemu ty jesteś wobec nich, ty polesiuku chełmski lub litwinie krożański?

Witold Lewicki.





C. k. dostawca nadworny

Teofil Kotykiewicz

fabryka harmoniów
we Wiedniu, V. Straussengasse 18.

Skład harmonji

wszelkiej wielkości do użytku
w kościele, szkole, salonie lub
koncertach.

Cennik ilustrowany wysła się
z opłaceniem portoryi.

J. C. HERNICK

Wiedeń, X. Alxingergasse 1. 35.

poleca swoją od r. 1877 istniejącą

Odlewnię i cyselnię

pomników, figur, ornamentów etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszców, zaręczając za wykonanie artystyczne i rzetelne. Na składzie są różne modele najznakomitszych artystów-rzeźbiarzy i gotowe niektóre odlewy jak: Lewandowskiego „Zaporożec“ z brązu i Friedla „grupa Helios“ z cynku. Ostatnia jest tanio do nabycia i nadaje się do udekorowania monumentalnej studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu.

Skład fabryczny

tutek cygaretowych i papierowych cygarniczek z patent. piórami etc.

Karoliny Czerwińskiej

w Wiedniu, I. Lillengasse Nr. 1.

poleca swoje znane z dobroci i znakomitej jakości — prawdziwie francuzkie bibułki — wyroby łaskawym względem, nadmieniając, że jestto jedyny skład tego rodzaju we Wiedniu. Usługa skora i rzetelna, cennik i próby wysyłam opłatnie. — Ceny fabryczne. **Wchód na Lillengasse** jest z Singerstrasse lub Weiburggasse tuż przy Kärntnerstrasse.

I. Lillengasse I. K. CZERWIŃSKA. I. Lillengasse I.



Czcionkami Mechitarystów we Wiedniu.

